# Wojciech Wegner

# Przejście

Robert Schneider wyszedł z tunelu i rozejrzał się ostrożnie. Nasłuchiwał chwilę, póki nie nabrał przekonania, że jest zupełnie sam. Wiosenny las uderzył go zielonością, feerią barw i zapachów, co kontrastowało z lepką wilgocią, stęchlizną i chłodem, których doświadczał przez ostatnie kilka godzin. Wystawił twarz do słońca czując, jak ucieka z niego zmęczenie. Z radością wdychał rześkie powietrze kwietniowego popołudnia poddając się rozpierającej go radości ze znaleziska. Po raz nie wiadomo który w ciągu ostatnich chwil wsunął rękę do kieszeni mocno przybrudzonego i oplecionego pajęczynami surduta ściskając kilka drobnych, srebrnych monet. Nie był jeszcze w stu procentach pewien, ale wszystko wskazywało na to, że znalazł halerze raciborskie – małe piętnastowieczne, bite dwustronnie monety Księstwa Raciborskiego. A to z kolei, biorąc pod uwagę fakt, że właśnie wyszedł po drugiej stronie tunelu biegnącego pod Odrą a łączącego Zamek w Raciborzu z dość niepozorną budowlą na drugim brzegu rzeki tuż za murem dawnego klasztoru dominikanek było nie lada sensacją. Prawdę powiedziawszy jego, rzemieślnika zatrudnionego przy odbudowie zamku w Raciborzu po pożarze sprzed roku wszelkie budowle, nawet te podziemne, nie dziwiły. Jednakowoż wyobraźnia uruchamiała mu się natychmiast na myśl o skarbach ukrywanych przez kolejnych władców zamku w rzeczonym tunelu. Tak było od chwili, gdy usłyszał opowiadane w mieście legendy. A teraz nie tylko, że odnalazł wejście do tunelu, ale i halerze. Dowodnie świadczyło to o tym, że w ludowych powieściach jest ziarno prawdy. ,,Biedni wieśniacy – pomyślał z wyższością o mieszkańcach miasta – nie mieli dość odwagi żeby we właściwym miejscu szukać wejścia. A to było dziecinnie łatwe. Pewnie nawet mój czeladnik wiedziałby, że należy umieścić je przy najdalej na południe wysuniętym krańcu zamku, tak, aby było najbliżej Odry.’’ Po raz setny tego dnia uśmiechnął się do siebie gratulując sobie w myślach odwagi, bystrości umysłu oraz szczęścia. Otrzepał byle jak surdut, wytarł obłocone buty w kiełkującą trawę i ruszył w stronę, gdzie wydawało mu się, że powinien być gościniec mijający klasztor i prowadzący na most nad Odrą. Człowiek, który wpijał w niego wzrok odkąd tylko wyszedł z tunelu stał jeszcze chwilę po tym, jak Schneider zniknął w gęstwinie. Spowity pomimo gorąca w wyblakły wojskowy szynel zastanawiał się, co dalej. Mógł oczywiście, korzystając z prawie nieograniczonych plenipotencji swoich mocodawców, zlikwidować go tu na miejscu. Leżące jednak u wylotu tunelu ciało zdradziłby ich tajemnicę, której strzec należało za wszelką cenę. Pewnie też Oni (człowiek w szarym szynelu nie myślał o swoich pracodawcach inaczej niż ,,Oni’’), ludzie potężni, gwałtowni, skorzy do gniewu, ale także gotowi płacić każdą sumę za jego, bądź co bądź unikalne usługi, woleliby dowiedzieć się więcej o odkryciu Schneidera, zanim przydarzy mu się nieszczęśliwy wypadek. ,,Dobrze więc – pomyślał człowiek w wojskowym płaszczu – sprawdźmy co ten kamieniarz wie i komu coś powiedział.’’. Wydostał się z chaszczy i szybko ruszył w ślad za rzemieślnikiem.

Zajazd przy ulicy Grosse Vorstadt 45 o tej porze dnia jeszcze był w miarę spokojnym miejscem. Można było zebrać w nim myśli przy piwie z raciborskiego browaru zamkowego - taki plan miał Schneider, gdy przekraczał próg gospody. Zamówił u szynkarza kufel złocistego napoju usiadł w kącie, tyłem do ściany i pociągnął tęgi łyk. Chłód piwa podziałał na niego trzeźwiąco studząc rozpaloną wyobraźnię, w której już widział siebie, jak wydobywa skarb książąt raciborskich i korzysta z dobrodziejstw bogactwa. Planował, że osiądzie gdzieś na wsi, z dala od wielkomiejskiego szumu i zajmie się… właściwie nie wie, czym się zajmie, bo jako człowiek prawie od młodzieńca ciężko pracujący nie wyobrażał sobie, że można cały boży dzień leniuchować. Musiał jednak upewnić się, że skarb znajduje się w miejscu, gdzie znalazł halerze. Stłumił ogarniająca go ochotę przyjrzenia się monetom z bliska. Jakaś zbyt dociekliwa osoba mogłaby jeszcze je zobaczyć i zacząć się zastanawiać. Rzemieślnik rozejrzał się po karczmie. O, na przykład ten człowiek w podniszczonym płaszczu wojskowym, który wszedł właśnie do zajazdu. Chudy, o kostycznej, bladej twarzy, workami pod oczami i przylizanych na bok, mocno siwiejących włosach. Niby przygarbiony, ale widać było jakąś sprężystość w jego ruchach. Zamówił kufel piwa i usiadł w przeciwległym kącie sali bokiem do Schneidera wyciągając przed siebie nogi w znoszonych wojskowych butach. Nie, zdecydowanie powinien uważać na wszystko i nie afiszować się monetami. A może wziąć do spółki architekta miejskiego Starcka? – Pomyślał nagle. To jowialny straszy pan, który widział już niejedno, a i ze Schneiderem od początku pracy przy renowacji zamku przypadli sobie do gustu. Może dlatego, że obaj od lat należeli do loży wolnomularskiej „Friedrich Wilhelm zur Gerechtigkeit”? Braterstwo zobowiązuje, obaj umieją dochować tajemnicy. Tak –wstał z ławy – trzeba powiedzieć o tym Starckowi. Ma dobre pomysły, wie o czym się mówi na zamku, w kurii i w magistracie oraz dysponuje mapami Raciborza. Ja z kolei mam narzędzia. Gdzie mogę go teraz znaleźć – potarł w zamyśleniu podbródek - Najpewniej siedzi w swojej pracowni w magistracie. Schneider rzucił na szynkwas kilkanaście groszy i zniknął za drzwiami. Minutę później z ławy przy piecu podniósł się człowiek w znoszonym szynelu i niedbałym krokiem ruszył do wyjścia. Pozostawił niedopite piwo i wysychające powoli ślady błota na podłodze karczmy.

Biegnąca w stronę magistratu brukowana kocimi łbami wąska uliczka Raciborza dawała nieco cienia od ostrzej jakby operującego teraz słońca. Kamieniarz szedł żwawo w myślach układając sobie rozmowę z miejskim architektem. Zastanawiał się, czy powiedzieć mu o wszystkim na miejscu, w jego pracowni, czy jednak wziąć go gdzieś na bok. Nie mogąc podjąć decyzji uznał, że zobaczy na miejscu, jaka będzie sytuacja. Kilkadziesiąt kroków dalej musiał zwolnić. Natknął się na fragment uliczki zatłoczony wszelkiego rodzaju kramami. A handlarze – swoim zwyczajem – wychodzili przed swoje stoiska i chwytali za łokcie przechodniów zachwalając swoje towary. Czego tu nie było: glinianie naczynia, drewniane koła od wozów, spracowane dyszle, tarki do prania, klatki dla ptaków, stare i zupełnie nowe buty, na wpół zjedzone przez mole płaszcze, nowe serwety ręcznie robione, a wszystko to rozłożone wśród stert warzyw i owoców, mocno woniejących warkoczy czosnku i cebuli. Oszołomiony gwarem Schneider przystanął, co wykorzystał zręcznie szewc, właściciel małego kramiku wciśniętego pomiędzy połcie słoniny a kosze zeszłorocznych jabłek, który jął zachwalać nowiutką parę wysokich butów. Kamieniarz rzucił niechętnym okiem na towar i już zabierał się do mało eleganckiego odsunięcia ze swej drogi sprzedawcy, kiedy jego uwagę zwróciła chuda postać w znoszonym szynelu stojąca nieopodal. Blady mężczyzna o gorejących oczach oglądał coś na straganie lecz zupełnie nie zważał na skaczącą koło niego przekupkę, reklamującą przenikliwym głosem swój towar. Jakby myślami był gdzie indziej. Schneider gdzieś go już widział. Zadrżał nagle. Tak, to ten człowiek z zajazdu. Mógł to być przypadek, że akurat spotkał go tutaj wśród handlarzy, ale… biorąc pod uwagę swoje znalezisko, musiał być podwójnie ostrożny. Zawahał się na moment. Spojrzał znów na mężczyznę w płaszczu, który zdawał się być teraz pochłonięty oglądaniem sukiennych spodni. Kamieniarz zrobił krok w tył, potem drugi i trzeci, obrócił się na pięcie i dał się ponieść tłumowi. Kiedy po chwili zerknął za siebie, mężczyzny przy stoisku z konfekcją nie było, a straganiarka skakała wokół kogoś innego. Schneider minął wielki kram z pieczywem i skręcił ostro w prawo wyrywając się prawie siłą z rwącej ludzkiej rzeki. Stanął przy ścianie kamienicy, wyjął papierośnicę i zapalił. Wydmuchując kłąb białego dymu odniósł wrażenie, że mignął mu po przeciwnej stronie ulicy wyświechtany, zielonkawy płaszcz. Serce przyśpieszyło, a jego ogarnęła gonitwa gorączkowych myśli. Kto to jest? Czy to przypadek, czy jednak ktoś go śledzi? Może widział, jak wychodził z tunelu? Może wie o jego znalezisku, ba, może też znalazł monety i chce poszukać skarbu? Co robić? Co robić? - Myślał gorączkowo. Jedno zrozumiał w tej chwili: nie może z nikim podzielić się swoim odkryciem. Nawet ze Starckiem. Skarb jest jego, tylko jego. Tak myśląc trzymał rękę w kieszeni bezwiednie ściskając srebrne monety, które nagle stały się zimne. Śmiertelnie zimne.

To nie była idealna noc na spacery. Koszmarna ściana deszczu sprawiała wrażenie, jakby niebo chciało się pozbyć zalegających w nim od pradziejów zapasów wody. Ulice zamieniły się w rzeki i naprawdę trzeba było mieć jakiś śmiertelnie ważny powód, aby wyściubić nos z domu. Fritz Neumann taki miał. Podniósł jeszcze wyżej kołnierz swego mocno spłowiałego szynelu, poprawił na głowie pamiętający lepsze czasy kaszkiet i usiłując omijać rzekę, która rwała teraz główną ulicą Raciborza spieszył na spotkanie. Szczęściem miało się ono odbyć w powozie stojącym w najciemniejszym kącie rynku więc była szansa, że nie przemoknie do cna. Zresztą Fritzowi, jako byłemu podoficerowi francuskiej Legii Cudzoziemskiej moknięcie nie było obce, no, ale jeśli była okazja nie przemóc do sucha, to dlaczego z niej nie skorzystać? Błyskawica przekreśliła niebo wyławiając z mroku rzędy słabo oświetlonych kamienic. Neumann stawiał kroki bliżej ich murów, bo razem z dachami dawały złudne poczucie ochrony przed strugami wiosennego, ale bynajmniej nie rześkiego deszczu. Kiedy piorun uderzył po raz drugi Fritz dojrzał powóz stojący w cieniu dużej kamienicy. Konie stały przykryte derkami, zupełnie zobojętniałe na ulewę, kozioł woźnicy był pusty. Legionista zapukał w drzwi pojazdu i ledwo dosłyszał rozkazujące: ,,wejść!”, wypowiedziane w języku niemieckim.

Tak, jak przypuszczał, we wnętrzu było sucho i ciepło. Zdawało mu się jednak, że siedząca w mroku postać cmoknęła z niesmakiem, kiedy ociekając deszczem usadowił się naprzeciwko.

## - Przepraszam panie…- zaczął Neumann

- Bez nazwisk! – zasyczała gniewnie postać przerywając mu wpół zdania – nie po to płacimy wysokie stawki za twoje usługi, żebyś wymawiał i co gorsza pamiętał nasze nazwiska.

Fritz Neumann nie lubił jak go pouczano. Kiedyś w Legii jeden francuski poruczniczyna świeżo po prestiżowej paryskiej Ecole Militaire zagiął na niego parol i koniecznie chciał mu udowodnić, że nie ma pojęcia o wojaczce. Był już w stopniu podoficera, który swoje odsłużył w Djibuti i innych miejscach na świecie śmierdzących spleśniałym kocem, podłym żarciem i kiepską wódką. Dlatego ten francuski piękniś zakończył swoją karierę żołnierza przykuty do wózka inwalidzkiego, a on musiał uciekać z Legii. Fritz teraz spojrzał zimno na tego człowieka i wycedził:

- Dobrze panie Starck.

Mężczyzna poruszył się gwałtownie jakby chciał zdzielić Neumanna trzymaną w ręce laską zwieńczoną srebrną głową lisa. Legionista spojrzał na niego wyzywająco. Starck, miejski architekt, człowiek przywykły do przepychu i luksusu niekoniecznie chciałby wdawać się w siłową konfrontację, której wygrać i tak nie miał szans. Spróbował inaczej:

- Panie Neumann, pan ma niechlubną przeszłość, my –wymawiając słowo ,,my’’ mocniej je zaakcentował – możliwości. Teraz pracuje pan dla nas i jesteśmy w stanie pana chronić. I opłacać. Dobrze opłacać. Dlatego, jeśli nie chce pan sprawdzić, jak się żyje we francuskim więzieniu, albo skończyć w kolonii karnej, proszę grzeczniej. Teraz zaś proszę zdać sprawę co z tym Schneiderem.

Fritz nie był głupi i nie śpieszno mu było do ancla. Koledzy pobitego oficera nie pozwoliliby mu spokojnie odsiedzieć wyroku i wyjść z Legii.

- Schneider to nie byle wieśniak z łopatą, który kopie tu i tam, żeby szukać wejścia do tunelu i znaleźć skrywany przez was skarb – tym razem to Neumann zaakcentował silniej słowo ,,was” - Zna się na murarce i nie jest w ciemię bity. Umie czytać stare mapy. Od paru tygodni grzebał koło zamku, przy murach i w środku. Wreszcie kilka dni temu znalazł wejście do tunelu przy południowej ścianie zamku. Dziś wyszedł na drugą stronę przy klasztorze. Tam, gdzie pan mówił, żeby stać. Nie jestem pewien, ale trzymał coś w dłoni, więc chyba coś tam znalazł. Pewnie więc będzie dalej grzebał. I w końcu wygrzebie co wasze. – zakończył trochę złośliwie.

Starck od chwili wiercił się nerwowo, a teraz nie wytrzymał:

- Pan się go musi pozbyć Neumann! – wykrzyknął – natychmiast!

- Wie pan, panie St… - zająknął się Fritz – zabicie człowieka to nie jest rozdeptanie karalucha albo trafienie komara starą gazetą. Zwłaszcza, że to musi wyglądać na wypadek. Nie mam ochoty pójść siedzieć.

## - Damy pięć tysięcy marek - rzucił architekt

- Dziesięć – zażądał Neumann – i połowa jutro o tej samej porze w tym samym miejscu. Reszta po robocie.

- Zgoda – Starck najwyraźniej nie miał ochoty negocjować – tylko niech się pan modli, żeby w międzyczasie nikomu nie pochwalił się znaleziskiem. Żegnam.

Na dworze było chłodno, deszcz zmienił się z ulewy w drobny kapuśniaczek. Neumann wysiadł z powozu i otulił zesztywniałym z wilgoci płaszczem. Wyciągnął z kieszeni pudełko pomiętych papierosów i zapalił jednego. Zamyślił się…

 \*\*\*

,,Przednówek przestał nas rozpieszczać’’ – myślał Starck spoglądając w zasnute burymi chmurami niebo, z którego od kilku dni uczciwie padało. Przedwczorajsza ulewa, która spadła na Racibórz sprawiła, że Odra niebezpiecznie podniosła swój poziom a prace remontowe na zamku zostały wstrzymane. Robotnicy zeszli z rusztowań tylko Robert Schneider, mistrz kamieniarski nadzorujący prace, stał na wysokości i patrzył z góry na dziedziniec co i rusz porównując jego kształt z trzymaną w ręku mapą kreśląc coś na niej. Architekt miejski patrzył na kamieniarza z okien zamku niepokojąc się coraz bardziej. Myślał intensywnie o Neumannie i zastanawiał się, czy można ufać temu człowiekowi, powierzając mu zabezpieczenie ICH kosztowności. ,,Jest równie gwałtowny i niebezpieczny co nieprzewidywalny. Dobrze, że mamy go w garści. I oby po swojej stronie’’. Dalsze przemyśliwania Starcka przerwał przeraźliwy krzyk. Spojrzał na rusztowanie i serce podeszło mu do gardła. Schneider mocno wychylony przez oparcie rusztowania machał rozpaczliwie rękami usiłując się czegoś złapać, kiedy postać w spłowiałym szynelu trzymała go za nogi próbując przerzucić resztę jego ciała przez barierkę. Rozpoznał Neumanna. Legionista mocno trzymał Schneidera uniemożliwiając mu kopanie nogami, chwilę szarpał się z nim by w końcu zwyciężyć. Jego ciało przeleciało przez barierkę rusztowania i po krótkim locie, wydając głuche plaśnięcie uderzyło w chodnik. Schneider się nie poruszył. Neumann spoglądał chwilę na leżące ciało po czym spojrzał w stronę okna, z którego patrzył Starck. Ten ostatni poczuł na sobie jego wzrok i odruchowo cofnął się w głąb pracowni. Kiedy wyjrzał ponownie, Fritza Neumanna nie było na rusztowaniu, natomiast Architekt usłyszał rosnący gwar. Robotnicy zobaczyli leżącego na chodniku Schneidera i zbiegali się zewsząd. Pobiegł i on.

- Panie Starck, Panie Starck – wołali rozemocjonowani jeden przez drugiego – mistrz spadł! I zabił się. Na śmierć się zabił, panie Starck!.

Architekt miejski stał nad ciałem kamieniarza czując jakby ulgę. I śmiertelnie chłodną satysfakcję, bo w końcu to, co gromadził z kilkoma innymi notablami Raciborza w tunelu pod Odrą, ocalało. Przynajmniej na jakiś czas, póki nie znajdzie się kolejny spryciarz szukający tajemniczego przejścia. Otarł pot z czoła i wrócił do pracowni. Nie interesowało go, kto zajmie się ciałem Schneidera ani kto poprowadzi dalej remont zamku. Rajcy miejscy coś wymyślą.

EPILOG

Pomocnik kamieniarski Adalbert Wagner po śmierci Schneidera czuł wielką pustkę. Mistrz kamieniarski był jego mentorem. Adalbert pierwszy przybiegł na miejsce jego śmierci i długo wpatrywał się ciało nim miejscowy grabarz nie zabrał go do drewnianej trumny. Pogrążony w smutku nie zwrócił uwagi nawet na to, że jakiś człowiek w znoszonym wojskowym szynelu obszukał ciało zmarłego nim grabarz zdążył zamknąć wieko. Wagner trzymał w ręce kawałek mapy, którą wyjął z ręki zmarłego mistrza. Kiedy spojrzał na nią uświadomił sobie, że to być może jedyna pamiątka po Schneiderze i postanowił jakoś zadbać o to, żeby choć ten papier, z dziwną czerwoną kreską biegnącą od południowej ściany zamku przez Odrę na drugi jej brzeg, zachować dla potomności. Już wiedział, co z nim zrobi.

Walter